



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jadwiga Komender

Kilka moich wspomnień

Urodziłam się w listopadzie 1931 roku, w chwili wybuchu wojny miałam więc niespełna 8 lat. Z okresu okupacji postanowiłam opisać tylko kilka obrazków, które najbardziej utkwiły mi w pamięci.

Rok 1939. Mieszkamy w Warszawie na Saskiej Kępie – moi rodzice i dwaj starsi bracia (dziesięcio- i dwunastoletni). Jest ciężko. Ojciec po wejściu Niemców nie podjął pracy na kolei, która stanowiła źródło utrzymania naszej rodziny. Po kilku miesiącach zatrudnił się chałupniczo do montowania korków i amperów. Robiliśmy to wspólnie. Nawet my, dzieci, musieliśmy pomagać. Jednak pieniędzy wciąż było mało. Przy pomocy RGO rodzice dostali działkę, mieszczącą się na terenie obecnego Stadionu 10-lecia. Pracowali na niej ciężko, ale dzięki temu mieliśmy ziemniaki i warzywa. Po pewnym czasie ojciec dostał inną pracę. Matka zaczęła wypiekać ciastka, które sprzedawała w jakiejś kawiarni. My jednak nie dostawaliśmy ich nigdy. Ja jak większość dzieci w moim wieku spędzałam czas na zabawie, chodziłam też do szkoły. Czasami biegając nad Wisłę zabierałam ze sobą króliki, które hodowaliśmy na balkonie.

Pewnego dnia po powrocie ze szkoły zobaczyłam w domu dziewczynkę w moim wieku. Matka widząc moje zdziwienie wyjaśniła, że dziewczynka umyła podłogę w kuchni i w formie zapłaty dostała talerz zupy. Jadła ją z ogromnym apetytem. Nazajutrz sytuacja powtórzyła się, a po kolejnych dwóch dniach zastałam w kuchni już dwie dziewczynki. Na mój widok jednak szybko znikły. Byłam nimi bardzo zaintrygowana, ale już więcej ich nie zobaczyłam. Spytałam matkę kim były, skąd przychodziły, ale odpowiedzi nie uzyskałam. Po jakimś czasie dowiedziałam się, nie wiem już od kogo, że były to Żydówki, którym przez kilka dni udawało się wydostać z getta.

Kolejny obrazek. Pojechałam odwiedzić babcię, która mieszkała na Poznańskiej. Wracając do domu szłam Wałem Miedzeszyńskim. Nagle zobaczyłam sporą grupkę ludzi. Powodowana ciekawością podeszłam bliżej. Na ziemi ujrzałam strzępki krwawej, galaretowatej masy. Od stojących ludzi dowiedziałam się, że w tym miejscu przed godziną odbyła się egzekucja. Wróciłam do domu. Matka zaczęła dopytywać się co się stało, byłam bowiem szaro-błada, ledwo trzymałam się na nogach. Nie odpowiadałam. Nie byłam w stanie wykrztusić z siebie słowa.

Kolejna scena. Jest noc, leżymy już wszyscy w łóżkach, śpimy. Ze snu budzi nas dobijanie się do drzwi, walenie kolbami, okrzyki po niemiecku. Na parterze mieszkały trzy samotne siostry, my na pierwszym piętrze. Po chwili słyszymy, że któraś z sąsiadek drzwi otworzyła. Pełni przerażenia nadśledzujemy, co dzieje się na dole. Nagle padają strzały, a potem ktoś dobija się do naszego mieszkania. Ojciec otwiera. Do pokoju wchodzi kilku Niemców. Jeden z nich podchodzi kolejno do każdego łóżka, wpatruje się w leżącą w nim osobę. Widząc mojego starszego brata sięga po leżące na

krześle ubranie, potrząsa nim. Z kieszeni wypada moneta. Hałas jaki przy tym powstaje wydaje mi się hukiem z armaty, ale Niemiec spokojnie idzie dalej. Inni zaglądną do szafy, biurka. Po chwili Niemcy wychodzą, ale każą ojcu iść ze sobą. Nadsluchujemy – cisza. Po pewnym czasie ojciec wraca. Jest okropnie zdenerwowany, błądy. Dowiadujemy się, że sąsiadki i ich pies zostały zastrzelone. Do mieszkania po zabitych sąsiadkach po pewnym czasie wprowadziła się młoda kobieta, podobno przyjaciółka jakiegoś Niemca. Lubiła mnie, często zapraszała do siebie, częstowała owocami, a nawet czasami czekoladkami, których nie jadłam od początku wojny. Bardzo mi smakowały, więc często do niej chodziłam. Matka była z tego mniej zadowolona, ale nie protestowała. Któregoś dnia kobieta ta poczęstowała mnie kompotem, w którym pływały pestki śliwek. Nie wiem dlaczego, ale myślałam, że kompot ten już jadła, a resztę, do której wypluła pestki dała mnie. Czułam się tym upokorzona, ale nie umiałam odmówić, tak dawno nie jadłam nic słodkiego, a kompot był taki dobry.

Postanowiłam, że sama wyprodukuję cukier. Nie pamiętam już w jaki sposób zdobyłam nasiona buraków cukrowych. Przekopałam skrawek ziemi na chodniku i tam posiałam swoje buraki. Nasiona wzeszły. Roślinki pielęgnowałam bardzo starannie, nie pozwoliłam by wyrosła między nimi jakakolwiek trawka. Nadszedł październik. Wyrwałam buraki, pokroiłam, zaczęłam gotować. Gotowałam je przez kilka dni, ale uzyskany płyn był ciągle rzadki, brunatny, nie bardzo słodki. W niczym nie przypominał cukru. Byłam bardzo rozczarowana – tak liczyłam, że zjem coś słodkiego...

Kolejne przeżycie. Wiosna 1942 roku. Biegając po krze na Wiśle wpadłam do wody, ale jakoś się z niej wydostałam. Szybko wróciłam do domu. Matka położyła mnie do łóżka i napiła gorącą herbatą z liści bratka polnego. Następnego dnia miałam jednak wysoką gorączkę. Okazało się, że jestem ciężko chora, mam płatowe zapalenie płuc. Gdy po kilku tygodniach wstałam z łóżka, a potem poszłam do sklepiku, w którym zawsze robiłam zakupy, nikt mnie nie poznał – tak bardzo wychudłam. Ponieważ jednak miałam nadal stany podgorączkowe i narzekałam na bóle głowy, rodzice zaczęli obawiać się, że jestem chora na gruźlicę. Matka postanowiła wysłać mnie do Zakopanego, gdzie mieszkał jej brat.

W Zakopanem czułam się dobrze. Ciotka – żona wuja – lubiła mnie, bawiłam się z jej synkiem, z babcią chodziłam na spacer. Czasami biegałam do gór, u których była zostawiona dla ciotki kielbasa pasztetowa (chyba była to forma zapłaty, gdyż była lekarką, leczyła wszystkie dzieci z Zakopanego). Pewnego dnia bawiąc się w ogrodzie spostrzegłam, że w stojącym nieopodal domku jest jakaś dziewczynka. Dziewczynka ta podchodziła czasami do okna, ale widząc, że na nią patrzymy (w ogrodzie bawiłam się z kilkorgiem dzieci z sąsiedztwa) szybko cofnęła się w głąb pokoju. Nigdy nie wychodziła do nas. Ciotka wyjaśniła mi, że nie wolno nikomu o niej mówić. Jej ojciec jest żołnierzem, przebywa w Anglii. Dziewczynka ma na imię Ala. Gdyby Niemcy dowiedzieli się o córce polskiego żołnierza, zabiliby ją na pewno. Po kilku dniach dziewczynka znikła. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że była to Żydówka, którą ukrywała moja rodzina. Obecnie mieszka w Izraelu. Jej ojciec po wojnie pozostał w Polsce, miał kontakt z dziadkiem, który organizował przechowanie jego córki.

Powstanie Warszawskie. W dniu wybuchu powstania ojciec wraz ze mną wybrał się w odwiedziny do swojej matki, która mieszkała nadal na Poznańskiej. Ponieważ zasiedzieliśmy się u babci do późnego popołudnia, o powrocie do domu nie mogło być mowy. Pewnego dnia z powodu strzelaniny schroniliśmy się do piwnicy. Nagle wpadli do niej Niemcy i kazali wszystkim wyjść na podwórko. Z szeregu mężczyzn wyciągnęli mojego ojca, który miał ręce poplamione węglem. Ustawili go pod ścianą, gdyż jak twierdzili z tego domu ktoś strzelał. Na pewno był to ojciec, gdyż ma brudne, osmolone ręce. Babcia i brat ojca, który z nią mieszkał, błagali by ojca nie rozstrzelowano. Widząc, że Niemcy ustawiają się w szyku z karabinami gotowymi do strzału, kazali mi iść do dowódcy prosić o życie ojca. Płacząc podeszłam do niego i mówię, że to mój tata, który cały czas był przy mnie i na pewno nie strzelał. O dziwo, Niemcy uwolnili go i kazali wszystkim wrócić do piwnicy.

Po kilku dniach ojciec dowiaduje się, że można opuścić Warszawę. Postanawia, że tak będzie najlepiej. Babcia ze stryjem pozostają w domu. Wieczorem znajdujemy się na Zieleniaku, na Ochocie. Jest tam dużo ludzi. Jesteśmy głodni, od rana nic nie jedliśmy. Robi się ciemno. Słychać nawoływania, by kobiety zgłosiły się do pracy w kuchni. Chcę tam iść, ale ojciec każe mi położyć się na ziemi i przykrywa mnie płaszczem. Nie wiem dlaczego to robi. Nagle słychać jakieś krzyki. Wśród leżących i siedzących chodzą Ukraińcy, którzy jakoby wybierają kobiety do pracy. Leżę bez ruchu, nikt mnie nie dostrzega. Rano dowiaduję się, że krzyczały gwałcone kobiety.

Trafiamy do obozu przejściowego w Pruszkowie, a stamtąd do wagonów towarowych, którymi wywiozą nas... Dokąd? W wagonie ścisk, płacz, chwilami głośne modlitwy. Na niektórych stacjach podbiegają ludzie, dają nam chleb i picie. Po pewnym czasie jesteśmy już w Niemczech. Zatrzymujemy się na kolejnych stacjach, ale nigdzie nas nie chcą. W końcu po trzech dniach znajdujemy się w niewielkim mieście Phorzheim. Sto osób z naszego transportu zostaje umieszczonych w szkole, na dużej sali gimnastycznej, na której stoją już piętrowe prycze. Jedzenie jest przywożone w wielkich kotłach. Po kilku dniach zapada decyzja, że osoby zdolne do pracy muszą ją podjąć. Ojciec postanawia, że ja też powinnam pracować, mimo że inne dzieci w moim wieku pozostają w obozie. Tata pracuje przy

kopaniu, ja dostaję się do fabryki, w której lutuję jakieś części. Koło mnie siedzi Niemiec, który obserwuje mnie z uwagą. Mam wszy, wyjmuję je z włosów i rozgniatam na stole.

Po kilku dniach dowiadujemy się, że wszyscy rano mają pozostać w obozie. Po pewnym czasie zabierają nas do łaźni. Do dużego pomieszczenia wpuszczają kobiety, do innego mężczyzn. Każą się nam rozebrać do naga. Czekamy. Dzieci zaczynają płakać, kobiety szeptać, że może nas zagazują. Ale nie, każda dostaje jakiś płyn, który musi sobie wetrzeć w głowę. Po godzinie idziemy pod prysznic. Wychodzimy czyste i bez wszy. Niemiec, który siedzi w fabryce koło mnie codziennie podczas przerwy śniadaniowej bez słowa podsuwa mi jakiś owoc – jabłko, gruszkę, a po kilku dniach kawałek chleba. Jestem mu wdzięczna, bo w obozie karmią nas dość podle. Jednakże dużo lepiej niż Rosjanki, które również pracują w fabryce. One dostają głównie kapustę i brukiew.

Po pewnym czasie otrzymujemy kartki, takie jak cudzoziemcy pracujący w Niemczech. Możemy iść do sklepu i kupić chleb, a nawet okrawki wędliny. Któregoś dnia dostajemy kawałek mięsa. Gotuję je na dworze na dwóch ceglach. Smakuje znakomicie. Nigdy w życiu nie jadłam tam smacznego rosółu i mięsa.

W niedzielę chodzimy z ojcem na spacer poza miasto. Okolica jest bardzo piękna – wzgórza, lasy, drogi wysadzone drzewami owocowymi. Któregoś dnia widzimy lecące samoloty. Nagle jeden zniża się gwałtownie. Ojciec pociąga mnie w przydrożne krzaki. Samolot pikuje, strzela do nas. Kule gwizdają koło ucha. Zawraca, pikuje jeszcze dwa razy. Na szczęście nie trafił. Wracamy do obozu.

Zbliża się zima, jest coraz chłodniej, a ja mam tylko letnią sukienkę i sandaalki, w których wyszłam z Warszawy. Pewnego dnia rano, gdy idę do fabryki, podbiega do mnie jakieś dziecko, wciska mi w ręce paczkę i ucieka. Znajduję w niej sweter i rajtuzy. Teraz już nie jest mi tak zimno. Po paru tygodniach dowiaduje się o nas Szwajcarski Czerwony Krzyż. Do obozu przychodzi kilka paczek, których zawartość zostaje sprawiedliwie podzielona. Ja dostaję ciepły blezer.

Pewnego wieczoru budzą nas syreny alarmowe. Wstajemy z prycz i gromadzimy się na korytarzu. Słysząc, że miasto jest bombardowane. Nalot trwa krótko, ale nam czas dłuży się ogromnie. Następnego dnia dowiadujemy się, że było to bombardowanie dywanowe – jednocześnie spadały bomby zapalające i burzące. W mieście działy się dantejskie sceny. Ludzie płonęli jak żywe pochodnie. Szukali ratunku w pobliskiej rzece. Miasto zostało zburzone w 80%. Podczas tego nalotu zginęły dwie młode Żydówki, które czasami przychodziły do obozu by porozmawiać. Na początku wojny, by uniknąć wywozu do getta, ochotniczo zgłosiły się do pracy w Niemczech. Zginęli też jeńcy wojenni, głównie Hindusi, którzy mieli swój obóz niedaleko naszej fabryki. Widywałam ich, gdy wychodziliśmy z zakładu podczas wcześniejszych nalotów.

Kolejny nalot zastaje mnie na polu. Słyszając syrenę biegnę do obozu, ale już nadlatują samoloty. Kładę się na ziemi, a obok padają bomby. Widzę bryły ziemi unoszące się w powietrzu. Po chwili koniec, nic mi się nie stało. Wracam do obozu.

Zbliża się koniec wojny. Do miasta wkraczają wojska francuskie. Ojciec, który zna francuski, rozmawia z żołnierzami. Jesteśmy szczęśliwi. Nareszcie wrócimy do domu. Ale następnego dnia miasto robi dziwne wrażenie. Ulice są puste, nie ma na nich żołnierzy francuskich, nie ma też niemieckich. Dowiadujemy się, że Francuzi posuwali się naprzód zbyt szybko, bez zaplecza. W nocy na rozkaz dowództwa wycofali się. Ojciec czuje się poważnie zagrożony. Jeśli wrócą Niemcy, na pewno ktoś doniesie, że bratał się z Francuzami. Postanawia, że musimy przejść linię frontu. Wychodzimy z miasta. Idziemy w kierunku, z którego przyszli Francuzi. Podchodzimy do wzgórz okalających miasto. Wokół widzimy rozrzuconą broń, martwe konie. Ojciec do znalezionej gdzieś kija przywiązuje chusteczkę do nosa. Idziemy trzymając kij uniesiony wysoko. Dookoła cisza i spokój, tylko te martwe konie i porzucona broń. W pewnym momencie słyszymy „stać!”, a po chwili jest koło nas kilku francuskich żołnierzy. Ojciec tłumaczy, że jesteśmy Polakami wywiezionymi na roboty. Prowadzą nas do oficera, a po chwili siedzimy już w ciężarówce z żołnierzami. Jest kilku murzynów, którzy częstują nas czekoladą. Odwożą nas do Karlsruhe, do obozu, w którym są już inni Polacy i Włosi. Tam znowu tłumaczymy kim jesteśmy i skąd. Komendant obozu, młody oficer francuski, jest zadowolony. Od razu zatrudnia ojca jako tłumacza.

Oficerowie polscy organizują szkołę. Chodzę do niej i uzyskuję świadectwo ukończenia pierwszej klasy gimnazjum. Powstaje jednak pytanie – co dalej? Komendant obozu namawia ojca, by jechał do Francji. Jest inżynierem, zna języki (francuski, niemiecki, rosyjski), więc na pewno dostanie pracę. Ojciec waha się. Ja jednak stanowczo chcę wrócić do kraju, do matki. Wiemy, że żyje, bo pod koniec pobytu w obozie dostawaliśmy od niej listy. Jednakże w obozie panuje niepokój i niepewność. Krążą pogłoski, że wracający do Polski tylko przejeżdżają przez kraj i jadą dalej na Syberię. Mimo to zapada decyzja, że wracamy. I rzeczywiście – 7 kwietnia 1947 roku jesteśmy w Polsce. Jedziemy do Tomaszowa Mazowieckiego. Tam u swojej siostry mieszka matka z młodszym z moich braci. O starszym, biorącym udział w powstaniu, brak wieści. Idziemy ulicą w stronę domu ciotki. Spotykamy matkę. Padamy sobie w ramiona. Żyjemy, jesteśmy razem!